

Poczytaj mi w lato 4

PHILIP ROTH KOI GŁÓD, RYMKIEWICZ DAJE PACHNĄCĄ PRZYJEMNOŚĆ, McCarthy – ascetyczną brutalność. Książki na wakacje poleca Roman Kurkiewicz.



Premysl Rut

„Lunatyczny przewodnik po Pradze”

Atut

To miały być bajki dla dzieci. Powstały teksty, które zachowały wprawdzie baśniową osnowę i klimat, ale dla dzieci się nie nadały. Ale dla nas, praskich bywalców bywalszych i przyszłych, ta książka jest kolejną szansą na całkiem nową podróż po czeskiej metropolii, wyprawą w widmowe zakamarki, w nieistniejące historie, w opowieści, które mogły się zrodzić tylko w tym mieście. Opowieści Ruta, miniatury prozatorskie, minibaśnie, niby-bedeckery, są trochę jak najwspanialszy widok na Pragę, widok, jaki miała z najmniejszego balkonu starszka Pepinka, wypatrująca przez złożone w tubę dłonie spadających gwiazd. Bo wtedy spełniają się marzenia. Ta książeczka jest spełnieniem marzeń czytelnicy, jest gwiazdką spadającą z praskiego nieba. Patrzcie i czytajcie.

Jarosław Marek Rymkiewicz

„Myśli różne o ogrodach”

Sic!

Jakże zaskakujący powrót do Rymkiewicza odległego o lata świetlne od Rymkiewicza aktualnego, aktualnego w swoich ostatnich historycznych książkach. „Myśli różne o ogrodach” to praca doktorska poety i skandalisty politycznego. To książka, na którą sam autor patrzy dzisiaj ze zdziwieniem i wie, że teraz napisać by jej nie potrafił ani nie mógł. Dostajemy klasyczny wykład filozofii ogrodowej, bajecznie erudycyjny, doskonale harmonijny, przebogata polszczyzną uprawiony ogród eseistyczny. Nie tylko dla koneserów, ogrodników i prawicowych miłośników samotnika z Milanówka nagrodzonego literacką Nike. Pachnąca przyjemność.



Tomasz Rakowski

„Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy”

słowo/obraz terytoria

Nieznany portret polskiej „nowej biedy”. Książka erudycyjna, choć wolna od naukowego żargonu. Książka, która opisuje nowo powstałe pejzaże ubóstwa, bezrobocia, degradacji społecznej, prac dorywczych, bieda-szybów, zbieractwa, nowego łowiectwa. Opis Rakowskiego jest imponującym przejawem dociekliwości badacza-niebadacza, antropologa i etnografa, który jest w stanie dojrzeć coś, co można by nazwać społeczeństwem marginesu, światem niezależnym, pełnym woli przetrwania. To opis życia niewidzialnego, odrzuconego, oddalonego. Oddalonego często o rzut kamieniem od naszego zadowolonego dobrobytu i sukcesu.

„ŚWIĄTECZNA”
KRZEPIAdam Leszczyński
„Gazeta Świąteczna”

Biorą los we własne ręce, tyle że na swój sposób, którego my nie akceptujemy” - mówi o górnikach z biedaszybów w Wałbrzychu antropolog Tomasz Rakowski (w fascynującej rozmowie z Aleksandrą Klich, obok). Dlaczego ci ludzie dźbią w biedaszybach? Czemu nie nauczą się języków, nie zaciagną krawatów i nie rozkręcą własnego biznesu? Rakowski: „Nie rozumiem, dlaczego wszyscy mamy działać według tego samego wzorca cywilizacyjnego (...). To są właśnie nasze wzory cywilizacyjne. Ludzie, którzy nie mają stałej pracy, nie będą trzymać pieniędzy w banku, nie mają za co uczyć się języków obcych ani założyć firmy”.

„Nasze wzory cywilizacyjne” - czyli czyje właściwie? Inteligencji, która coraz częściej jest dziś po prostu klasą średnią? Rakowski: „Patrzmy na kulturę ubóstwa wyłącznie przez pryzmat bierności i zasilków. Biedę jako stan bierności piętnują media, politycy (...). Gdy nasza perspektywa się zmienia, mamy szansę dostrzec bardzo racjonalne i mające swoje uzasadnienie kulturowe sposoby radzenia sobie z trudną sytuacją”.

Widzę w tym wyrzut wobec klasy średniej, która swoje wartości (oszczędzaj, inwestuj w siebie, bądź przedsiębiorczy itd.) uznaje za absolutny wzór, jak w życiu postępować należy. Z jej perspektywy górnicy z biedaszybów sami są winni biedy, w której żyją, bo nie inwestują w siebie i nie chcą się przekwalifikować. Każdy ma w życiu szansę - oni po prostu nie dość się starali. Rakowski próbuje zdjąć tę zasłonę uprzedzeń i niewiedzy o życiu biednych ludzi. Pokazuje, że jest znacznie bardziej racjonalne i wypełnione ciężką pracą, niż się może wydawać komuś, komu „praca” kojarzy się z komputerem w biurze i prezentacjami w PowerPoint. Rakowski dołącza w ten sposób do bogatego nurtu w socjologii i antropologii, który - nie wiedząc czemu - u nas uprawiany jest rzadko.

Kilka lat temu znany amerykański socjolog Sudhir Venkatesh wydał książkę o życiu biedaków z blokowisk Chicago. Venkatesh spędził wśród nich wiele miesięcy, wchodząc w rolę nieoficjalnego kronikarza szefa najważniejszego gangu. Gang - oglądany z bliska - okazał się metodycznie prowadzonym biznesem, w którym przemoc była tylko jednym (dodam - bardzo niewielkim, bo sprowadzała kłopoty) elementem działalności.

Moral? Praca jest tylko rodzajem społecznej gry i górnicy z biedaszybów grają w nią z nie mniejszym zaangażowaniem i wysiłkiem niż pracownicy korporacji. Różny kontekst obu tych sytuacji zacierają ich podobieństwa. Potrzeba socjologa - albo polskiego etnografa - żeby je pokazał. ●

główny kłob

Gorączka
Złomu

Olbrzymie grupy ludzi, którzy znaleźli się w fatalnej sytuacji, z trudem, boleśnie, ale poradziły sobie na własną rękę. Bez pomocy państwa, w ciszy, z daleka od mediów. Ta transformacja jest częścią naszej współczesnej historii

Tomasz Rakowski*

Aleksandra Klich: Jak pan, etnolog i antropolog kultury, został górnikiem w wałbrzyskich biedaszybach?

Tomasz Rakowski: Właściwie nigdy nim nie zostałem. Trochę pomagałem przy wynoszeniu węgla na górę, ale ta moja pomoc na niewiele się przydała. Nic nie umiałem, czasem nawet przeszkadzałem, choć starałem się tego nie robić...

To co pan robił w tych biedaszybach?

- Przyjechałem do Wałbrzycha w 2001 r., chciałem poznać doświadczenia tych, którzy znaleźli się w gorszej niż inni Polacy sytuacji po przemianach 1989 r. Badalem też świat zbieraczy złomu z okolic Bełchatowa i zubożałych mieszkańców świętokrzyskich wsi, którzy stracili pracę w likwidowanych zakładach.

My, antropolodzy, często nie przywozimy ze sobą żadnych hipotez, założeń, one na nas czekają na miejscu. Zjawiska i problemy pojawiają się podczas rozmów, obserwacji. Więc chciałem zamieszkać z ludźmi, rozmawiać z nimi, obserwować, jak żyją, jak odnoszą się do siebie.

Wyniki badań zamieścił pan w książce, która choć ma charakter naukowy, to porusza, bo opowiada o emocjach konkretnych ludzi: „łowców, zbieraczy, praktyków niemocy” - jak ich pan nazwał w tytule. Czyba nie było łatwo wejść w środowisko ludzi, którzy żyją w poczuciu krzywdy?

- To zadziwiające, ale np. w Wałbrzychu większość tych ludzi była wobec mnie, a potem moich studentów, serdeczna i otwarta. Zapraszali nas do domów, przygotowywali posiłki obok własnych. Znosili naszą długą obecność w swoim życiu. Wcześniej pracowałem w Mongolii oraz na polskich wsiach i wiem, że wejście w świat badanych nie zawsze jest takie proste.

Co pana zaskoczyło w Wałbrzychu?

- Środek miasta, a tu nagle pojawiają się, nie wiadomo skąd, ludzie w górniczych kaskach całkowicie pokryci węglowym pyłem. Wyglądali jak nie z tego świata. Brudni w czystym świecie, na ulicach miasta. Od początku ta dychotomia brudu i czystości mnie zaskakiwała, np. kopalnice troskliwie dbali, żeby się nie pobrudzić. Gdy zamieszkałem w domu górnika z biedaszybów, zauważyłem, że kopalnice sami są bardzo schludni. Zawsze, gdy wchodził do domu po pracy, brudne ubrania zostawiali na progu, by żony je wyczyściły. „Na czysto” - jak mówili - przychodzili oczywiście na barbórkę.

Kopacze organizowali Barbórkę - górnice święto? Po co?

- To święto jest bardzo ważnym elementem górniczego świata. Tyle że na kopalni barbórkę „mieli zorganizowaną”, a po likwidacji zakładu sami musieli się o nią zatroszczyć. Kopalnia przedsiębiorstwo rządzi się własnymi prawami, ma swoją strukturę, rytm, organizację pracy, kulturę, różne formy aktywności, reguły zapewniające bezpieczeństwo pracownikom. W biedaszybach zobaczyłem, jak siłą niezwykłego rozpędu kopalnie zaczęły funkcjonować na nowo, kopacze na własną rękę odtworzyli ich świat.

Mieli wiedzę techniczną, która pozwoliła im nie tylko skonstruować biedaszyby, czasem nawet bardzo głębokie, 20-metrowe, zbudować umocnienia i opracować różne sposoby wydobywania węgla. Montowali koleby, wyciągarki, system oświetlenia, konstruowali siła do przesiewania węgla, wszystko własnego pomysłu.

Te rzeczy miały dla kopaczy ogromne znaczenie. Wiele razy w różnych brygadach pokazywali mi różne urządzenia z dumą, że to właśnie oni pierwsi je zbudowali. To była ich - na poły realna, na poły wyimaginowana - twórczość.

Odtworzyli też rytm szczyty. W brygadach, z którymi pracowałem, kopacze nie przychodzili na godzinę czy dwie, żeby wydobyć kilka wiader węgla i je sprzedać, ale pracowali od rana do zmierzchu. Dla bezpieczeństwa i higieny pracy fedrowali jakiś czas, potem odpoczywali, żeby za chwilę wrócić do kopania. Tak jak kiedyś - w prawdziwej, legalnej kopalni.

Kopacze wstydzieli się przed panem swojej sytuacji? Byli przecież bezrobotnymi górnikami, którzy mimo ciężkiej pracy nie byli w stanie utrzymać rodziny, ludźmi - jak nawet pan ich nazywa - zdegradowanymi społecznie.

- Z jednej strony praca w biedaszybach, która porządkowała dzień, a nawet życie człowieka i jego rodziny, dawała byłym górnikom poczucie, że kontrolują sytuację, są w stanie spełniać swoją społeczną funkcję głowy rodziny.

Jednak z drugiej strony kopacze mieli głębokie poczucie degradacji. Bardzo często słuchałem skarg, jak to możliwe, że w ciągu kilku lat świat, w którym żyli, na którym polegali, przestał istnieć.

Nie jesteście górnikami, jesteście dziadami?

- Tak. Nie wiedzieli, czy są uczciwymi pracownikami, czy złodziejami węgla. Narzekali, że przyszła katastrofa, że miasto się rozpada, że mają zniszczone pracą ciała, kręgosłupy. Wiele razy słyszałem od byłych górników żale, że najlepiej byłoby, by Wałbrzych zniknął, żeby go rozebrać. I rzeczywiście ludzie sami rozbierali swoje miasto.

Z jednej strony było w tym coś autodestrukcyjnego. Ale z drugiej złomiarze w taki sposób walczyli o byt, pieniądze dla rodziny i dzięki temu byli w stanie przetrwać.

Prawie w każdej górniczej rodzinie był ktoś, kto się tym trudził. Każda śrubka, każdy element wystający rury były rozchwytywane jako cenny surowiec. To była, można by rzec, „gorączka złomu”.

To dobrze, że ludzie sobie radzą? Nawet kosztem miasta...

- Tak. Człowiek zdegradowany to ktoś, kto utracił pewien status społeczny i teraz próbuje się znaleźć w nowej, trudnej sytuacji. Nie tylko zewnętrznie, znajdując źródło dochodów, ale również odbudowując poczucie własnej wartości. Rzadko się zdarza, żeby człowiek nie próbował się ratować, pytanie jednak, czy mu się to udaje.

W przypadku kopaczy z Wałbrzycha praca nad odbudowaniem własnej wartości to było coś niezwykłego, wręcz bohaterstwa. Mieli w sobie wewnętrzną odwagę pionierów życia poza rynkiem oficjalnych przemian. Wiedziałem, że żyją nie tylko tak, żeby przetrwać, ale żeby zachować przed sąsiadami lub przed samym sobą poczucie godności.

Opisuje pan, jak w sytuacji kryzysu ludzie potrafią ze sobą współpracować. Kilka rodzin kupuje jednego kurczaka, dzielą się nim. Ktoś zdobył jajka, wymienia je u sąsiada na ser itd.

- Powstaje krąg ludzi, którzy pomagają sobie przetrwać. I w sensie ekonomicznym, np. gdy razem zdobywają opał czy pożywienie, ale - i to ważniejsze - w sensie psychologicznym. Ci ludzie wzajemnie się wspierają.

Gdy wracałem z pracy z najbliższym mi kopaczem, pięćdziesięcioletnim Andrzejem, wiele razy słyszałem jego rozmowy z sąsiadami, którzy bardzo poważnie pytali: „Jak sobie radzisz? Co z twoją rentą? Jak rodzina?”

Z gestów, sposobu, w jaki rozmawiali, wynikało, że ludzie ci nie są dla siebie w żaden sposób obojętni.



W biedaszybach zobaczyłem, jak siłą niezwykłego rozpędu kopalnie zaczęły funkcjonować na nowo, kopacze na własną rękę odtworzyli ich świat. Na zdjęciu: Górnicy w jednym z wałbrzyskich biedaszybów za nieczynnymi kopalniami Thorez i Victoria, kwiecień 2002 r.

A jak jest w świętokrzyskich wioskach? Bardzo różnią się od terenów popegeerowskich?

- W pegeerach, które zamieszkiwali przabytysze z różnych stron, w sytuacji gwałtownego zubożenia rozpadła się i tak dość chwiejna więź społeczna. W świętokrzyskich wioskach w sytuacji kryzysu jest odwrotnie: relacje międzyludzkie się wzmacniają. Pojawia się drugi obieg życia społecznego. Ludzie zbierają zioła, dystrybuują pożywienie, zdobywają opał. Robią razem coraz więcej rzeczy.

Wyraźne jest poczucie, że trzeba działać, że nie wolno pozostawać biernym, że trzeba się przeciwstawiać temu, co przychodzi z zewnątrz. Najczęściej sięga się po sprawdzone na wsi sposoby. Zdobywa się opał, z pól ściągają zarastające je brzoźki. Je się przede wszystkim to, co uda się wyhodować. Bezrobotny na wsi nie jest właściwie bezrobotny, bo w gospodarstwie jest przecież zawsze coś do roboty. Zawsze jest plot do naprawienia, ściana do oskrobania, do pomalowania.

Po co po raz dziesiąty naprawiać plot?

- To naturalny odruch, by spożytkować swoją energię, coś, co można by nazwać rytuałem przetrwania. Życie na wsi nie sprawi, że przestaniemy być bezrobotni, ale znika, a przynajmniej zmniejsza się bolesne poczucie bycia bezrobotnym.

Jak ludzie z Wałbrzycha czy ze Świętokrzyskiego traktują transformację i świat, który zafundował im bolesną lekcję przemian?

- Z tego, jak często lamentują i się skarżą, mogłoby wynikać, że nie rozumieją przemian, odczuwają je jako coś absolutnie obcego, zewnętrzne. Skarżą się w pustym, głuchym świecie. Tyle że to zrządzenie nie musi mieć nic wspólnego z tym, co dany człowiek wie o realnej sytuacji.

Bardzo często ludzie - szczególnie w wioskach, małych miastach - rytualnie zaniżają własną pozycję społeczną i - również rytualnie - narzekają, że wszystko idzie ku gorszemu. Że nic się nie opłaca. Że nic nie ma sensu.

Te wszystkie skargi to rodzaj kulturowej ekspresji. To - jak pokazał Piotr Kędziorek - rodzaj kodu komunikacyjnego, który jest odwrotnością amerykańskiego keep smiling. Amerykanie mówią: bądź uśmiechnięty, bądź optymistą, idź do przodu. Moi rozmówcy: martw się, bądź pesymistą, wycofuj się. Ale jednocześnie działają!

Choć kopacze z Wałbrzycha narzekają, że wszystko się kończy, że świat zrobił z nich dzia-

dów i nie wiadomo, dlaczego tak się stało, to w rzeczywistości usiłują zrozumieć, na czym polegają przemiany transformacyjne, dlaczego zamknięto kopalnię, interesują się polityką.

Skoro znają mechanizmy rynku, to dlaczego nie wezmą losu we własne ręce?

- Ależ oni biorą los we własne ręce, tyle że na swój sposób, którego my nie akceptujemy. Odwołują się do własnych odruchów kulturowych i jest to bardzo wartościowa forma radzenia sobie w trudnej sytuacji. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy mamy działać według tego samego wzorca cywilizacyjnego.

Bo żyłoby im się lepiej, gdy trzymali pieniądze nie w skarpecie, tylko w banku, uczyli się języków obcych i założyli własną firmę.

- To są właśnie nasze wzory cywilizacyjne. Ludzie, którzy nie mają stałej pracy, nie będą trzymać pieniędzy w banku, nie mają za co uczyć się języków obcych ani założyć firmy.

Problem w tym, żeby wyjść poza nasze standardy i zobaczyć, że budowanie własnej wartości niekoniecznie musi się wiązać z tym, co ważne dla nas. Przejeżdżając przez wioskę, widzimy pustkę, martwą ciszę, a tymczasem tam wciąż toczy się życie, „życie ekonomiczne”. Ale my tego nie widzimy, bo ci ludzie działają na własny, nieakceptowany przez nas sposób.

Opisuje pan gospodarstwa, w których na podwórku jest bałagan, stopy rupieci.

- Dla członka wiejskiej kultury gospodarstwa są wartościowe wtedy, gdy coś się w nich dzieje, gdy widać, że coś jest przerabiane, gdy urzędzenia są w ruchu. To też element rytuału przetrwania, rodzaj zaradności. Ja to rozumiem i traktuję jako coś naturalnego, choć odmiennego od własnych doświadczeń.

Twierdzi pan, że wbrew temu, co się powszechnie sądzi, ci ludzie - biedni, bezrobotni, zdegradowani - wcale nie są bierni?

- Przeciwnie, oni działają. Mimo początkowej bezradności spróbowali pojąć świat na nowo i odnaleźć się w nim.

Patrzmy na kulturę ubóstwa wyłącznie przez pryzmat bierności i zasilków. Biedę jako stan bierności piętnują media, politycy. I z perspektywy funkcjonalnej nauki społecznej, zgodnie z którą społeczeństwo ma działać jak dobrze naoliwiony mechanizm, jest to pewnie słuszne.

Jednak takie sądy nie tylko stygmatyzują tych ludzi, ale też nie pozwalają dostrzec, jak wiele się z nimi działo przez ostatnie lata.

Gdy nasza perspektywa się zmieni, mamy szansę dostrzec bardzo racjonalne i mające swoje uzasadnienie kulturowe sposoby radzenia sobie z trudną sytuacją.

Zobaczymy, że ci ludzie wykorzystywali wszystkie swoje możliwości i umiejętności. Jak można było żyć ze złomu, szukali złomu, jak z węgla, schodzili pod ziemię, budowali biedaszyby, jak z ziół i jagód, zbierali je na polach i w lasach.

Ciężko pracowali, by odbudować swoją wartość, wszyscy ci łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Dlatego przetrwali.

Nic dziwnego, że gdy nagle otwiera się granica i pojawiają się możliwości pracy w Niemczech czy Wielkiej Brytanii, na zmywaku czy przy zbieraniu truskawek, łowcy i zbieracze przenoszą się tam właśnie. To przecież z miejsc najbardziej dotkniętych bezrobociem po transformacyjnym otwarciu granic Unii emigrowały tysiące ludzi. W ten sposób ich przyuczajona aktywność, koncentrowana dotychczas na alternatywnych formach zajęć, na zarobkowaniu w gospodarce nieformalnej, stała się widoczna.

Ciągle słyszę pytania, jak to się stało, że przez kilkanaście lat ludzie nic nie robili, nie opłacało im się być aktywnymi, a na emigracji działają, zdobywają nowe zawody. Ci, którzy niby mają dwie lewe ręce, są bierni, nie nie potrafią, okazują się świetnymi pracownikami. Zaczynają od zmywaka, ale szybko zostają kelnerami, próbują prowadzić własne interesy.

Wcale nie dlatego, że nagle stali się aktywni. Tylko w Polsce nie stworzono im żadnych legalnych miejsc pracy, więc radzili sobie inaczej. Sprostali sytuacji biedy i bezrobocia, więc: przepracowali ją. Gdy tylko pojawiła się furtka migracji zarobkowej, natychmiast ją otworli i próbowali wykorzystać kolejne możliwości.

Radzą sobie, bo migrując do krajów zachodniej Europy, działają tak samo jak kilka lat temu. Zachowują postawę, która nakazuje działać mimo wszystko.

Na okładce pańskiej książki jest zniszczone godło państwa, które w trakcie badań znaleźliście w pustym budynku dyrekcji kopalni w Wałbrzychu. Orzeł ma urwaną głowę. To refleksja, że polskie państwo nie sprostało oczekiwaniom ludzi, nie wykorzystало ich możliwości?

- Niestety, w dużej mierze tak. I że o nich zapomniano. Nie jestem w stanie ocenić prze-



Tomasz Rakowski, „Lowcy, zbieracze, praktycy niemocy”, słowo/obraz terytoria, 2009

mian transformacyjnych, ale wiem, że najbardziej dramatyczne doświadczenia tych ludzi nie zostały odpowiednio docenione ani nawet dostrzeżone.

Nie zauważamy, że poza instytucjami, procesami makroekonomicznymi dokonała się potężna ukryta transformacja. Olbrzymie grupy ludzi, którzy znaleźli się w fatalnej sytuacji, z trudem, boleśnie, ale poradziły sobie na własną rękę. Bez pomocy państwa, w ciszy, z daleka od mediów.

Ta transformacja jest częścią naszej współczesnej historii. Bo to nie jest tylko historia przemian politycznych, zmian w sektorze prywatnym, rozwoju przedsiębiorczości, ale także ewolucyjnych zmian, które dokonały się w ludziach pozostawionych samym sobie.

Ludzie zostali wytrąceni poza margines oficjalnego życia na chwilę, nauczyli się tam funkcjonować, ale z ulgą przyjmują powrót na łono społeczeństwa. Pańscy bohaterowie przetrwali, zachowali godność, aktywność, ale najważniejsze, że zdobyli wreszcie legalną pracę albo wyjechali za granicę. Życie na marginesie się skończyło, dzięki Bogu.

- Traktując działania zdegradowanych ludzi jako wartościowe i pełnoprawne, nie wolno ich idealizować. Ci ludzie też marzą o tym, żeby mieć legalną pracę, chcieliby, żeby ich dzieci uczyły się języków obcych i podróżowały po świecie.

Finał mojej książki to też dowód, że w sensie psychologicznym wielu z nich przetrwało. Ich dzieci podejmują już wyzwania współczesnego świata. Migrują, studiują zaocznie, zdobywają nowe zawody i wyjeżdżają za granicę.

W ogromnym stopniu dlatego, że starali się, że udało im się - w sposób nie do końca uświadomiony - odbudować poczucie własnej wartości. ●

*TOMASZ RAKOWSKI

(ur. w 1974 r.) - adiunkt w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego.

Pracuje też jako lekarz oddziału ratunkowego w jednym ze stołecznych szpitali. Książka „Lowcy, zbieracze, praktycy niemocy” (wydawnictwo słowo/obraz terytoria) jest jego rozprawą doktorską